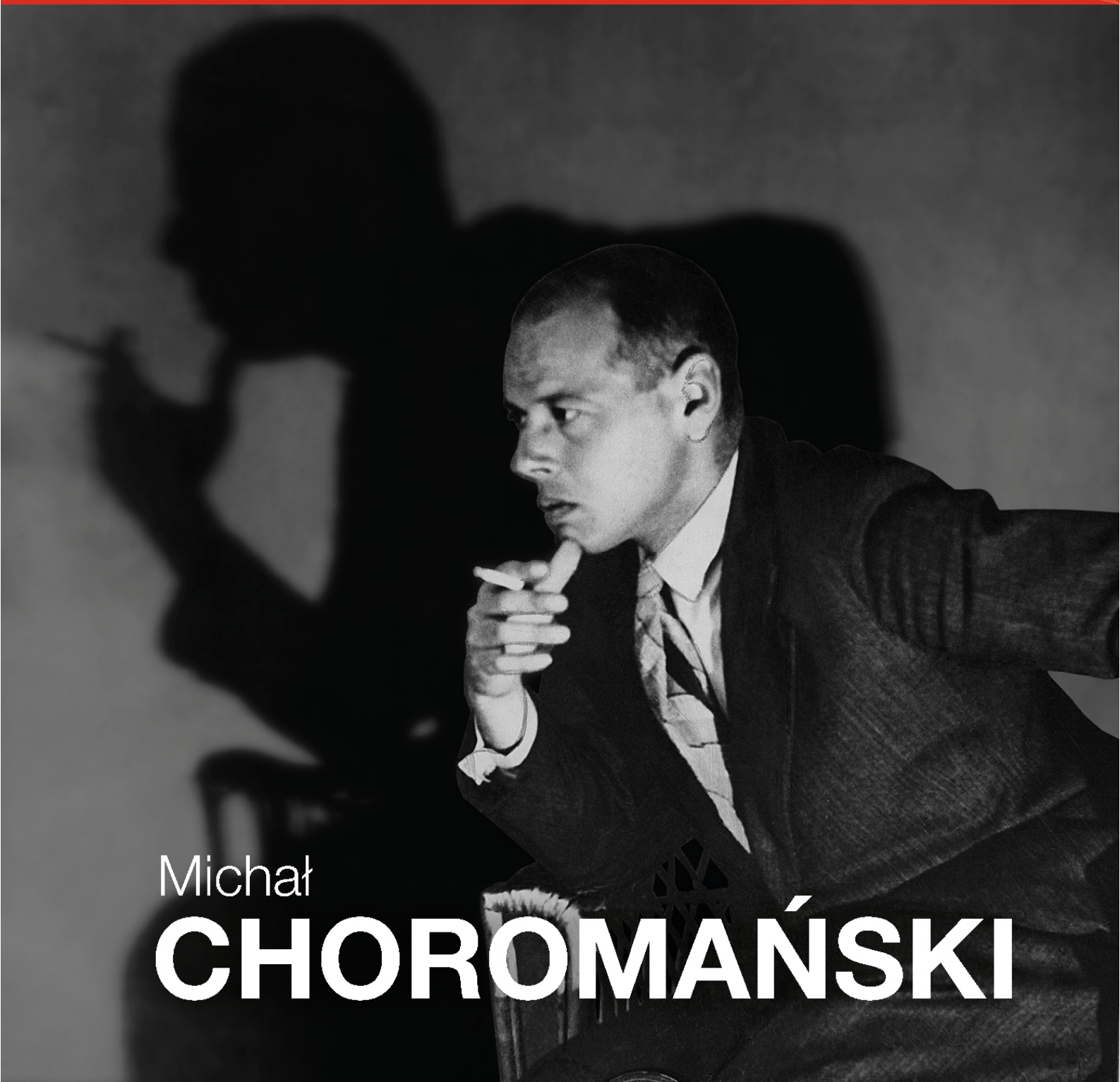


Skandal w Wesołych Bagniskach

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

SKANDAL W WESOŁYCH BAGNISKACH

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-15-9

Copyright © Michał Choromański

Tekst: PIW, Warszawa 1993

Projekt okładki: Marcin Labus

Część pierwsza

1

Okolice była bagnista. Tuż za parkiem zaczynały się łąki, których zieleni, jadłowita i złośliwa, pokrywała mokry i zdradziecki grunt. Chłopi byli pijani i chorzy na gruźlicę. Brzydkie, ciężarne baby o ziemistych, nieruchomych twarzach przychodziły do dworu na zebranie: ich chude, półgłówkowate bachory czekały godzinami na wilgotnej trawie dziedzica.

Lecz było to jeszcze za życia pani dziedziczki, dobrej pamięci Agnieszki Rozstajło. Po jej śmierci zaś nikt z chłopów nie ośmielił się wejść za bramę Wesołych Bagnisk. Pan dziedzic bowiem nie znośił chłopów i żebraków. Kazał otoczyć park wysokim ogrodzeniem, a koło zamkniętej bramy trzymał na łańcuchu wściekłego czarnego psa. Chłopi nazywali tego psa Bolszewikiem. Powiadali, że pięć lat temu, gdy we dworze stał przez tydzień oddział budionnowskiej kawalerii, politykom, czyli komisarz polityczny sztabu, był oficer carski hrabia Izmańłow przywiózł ze sobą małego czarnego szczeniaka, którego podobno karmił trupim mięsem. Gdy komisarz polityczny hrabia Izmańłow zastrzelił się w pokoju na górze i 5. Siwaszka Dywizja cofnęła się w popłochu w kierunku Mlecza i Osikowej, służba znalazła trupa młodego komisarza pokrytego czerwonym sztandarem, a tuż obok, na skrwawionej posadzce, śpiącego czarnego pieska. Zresztą dokładną historię i psa, i komisarza bolszewickiego pan Apolinary przechowywał u siebie w biurku razem z ostatnim listem nieboszczki żony.

Pan Apolinary Rozstajło zwykł był wstawać wczesnym rankiem, o godzinie siódmej, jeśli nie szóstej, i po parugodzinym spacerze kłaść się z powrotem do łóżka aż do samego obiadu. Właściwie jego codzienne spacerowanie nie miało charakteru normalnych przechadzek, trudno bowiem nazwać tym mianem dziwną, wprosi obłąkańczą lataninę i bieżaninę po alejach i ścieżkach parku.

O godzinie szóstej rano, gdy trawy były jeszcze mokre od rosy, gdy krzyk ptactwa był metaliczny i przenikliwy, a powietrze ostre i chłodne, pan Apolinary w jaskrawym jedwabnym szlafroku wychodził szybkim krokiem na taras, zlatywał po schodach na złamanie karku i mknął po głównej alei, przytrzymując rękami furkające poły. Patrzył zawsze tylko przed siebie wyłupiastymi, szarymi oczami bez wyrazu, trzymając głowę sztywno i nieruchomo, jak gdyby nie był w stanie nią poruszyć.

Zwykle pan Apolinary dolatywał do końca głównej, grabowej alei i zatrzymywał się na chwilę zdyszany, sapiący koło małej, spowitej winem groty. Stał nieruchomo, rzecz można, w modlitewnym skupieniu, chociaż zgoła nie był człowiekiem religijnym, i przypatrywał się drewnianemu posązkowi. Potem odwracał się i pod zielonym sklepieniem gałęzi widział w oddali biały taras dworu. Drzwi na taras stały otworem. Pięć lat temu komisarz Izmańłow, nudząc się śmiertelnie i metafizycznie, wymyślił sobie codzienną, niewinną rozrywkę.

W skórzanej kurtce, w granatowych obcisłych bryczesach i błyszczących, lakierowanych bulach wychodził na próg tarasu i strzelał z rewolweru do posągu Przenajczystszej Panny. Ogolony i zakokainowany od samego rana, mierzył z polowego parabellum długo i z nienawiścią. Trafić jednak nie było łatwo. Lecz po paru dniach komisarz zrobił pewne odkrycie, które niezmiernie ułatwiło mu bluźniercze strzelanie, i od tego czasu nie pudłował nigdy. O tym właśnie odkryciu zawsze przypominał sobie pan Apolinary, gdy podczas porannego spaceru zatrzymywał się około groty.

Wiosna w parku była wilgotna i dławiąca, powietrze jak w inspektach. Już przekwitły bzy i przekwitły jaśminy, płonące niebo zawisło nisko nad konarami drzew, i już od czasu do czasu dolatywał zapach kwitnących lip, gdy do Wesołych Bagnisk, zwykle pustych,

zamieszkałych jedynie przez pana Apolinarego i jego starą teściową, przyjechało liczne towarzystwo, sama młodzież. Przyjechała siostra zmarłej Agnieszki razem z narzeczoną, młodym medykiem, przyjechała jej koleżanka, również medyczka, przyjechało dwóch początkujących aktorów filmowych ze stołecznego miasta. Wtedy w jadalnym pokoju było gwarno, wesoło, w parku na zarośniętych ścieżkach błąkały się pary i koło posągu Matki Boskiej, której pierś była przedziurawiona kulami komisarza Izmańłowa, całowali się narzeczeni. Park wydawał się cichy i przytulny. Wieczorami nad główną aleją sunął spokojny, złoty księżyc. Wówczas kwitły już białe, żółte, różowe akacje, w pokojach stały snopy odurzających kwiatów, wokoło tarasu zaś w drewnianych korytkach coraz ogniej płonęły nasturcje.

Czerwiec był bardzo upalny, upalny i dławiący był również lipiec. Młodzież chodziła w sportowych ubraniach. W domu wszystkie okna zasłonięte ciemnymi firankami. Po podwieczorku medyczka i jeden z aktorów grywali na fortepianie na cztery ręce *Zaproszenie do tańca* Webera, potem puszczano patefon i w dużym ponurym salonie, w którym pięć lat temu wściekał się z nudów politkom Izmańłow, tańczono walce i tanga.

Lecz pan Apolinary w niczym nie zmienił swoich codziennych zwyczajów. Wstawał z rana coraz wcześniej, gdy wszyscy jeszcze spali, i w szlafroku z jedwabnego brokatu wybiegał. Potem jak pocisk przylatywał z powrotem do domu i kładł się do łóżka. Stara gospodyni, Józefa Krzywa, przynosiła mu śniadanie, a w południe dzbanki z gorącą wodą. Leżąc na szerokim, dwuosobowym tapczanie pan Apolinary czytał francuskie przeglądy literackie, o godzinie zaś jedenastej wychylał pierwszy kieliszek koniaku. Popijając koniak i francuskie wino golił się i mył, i o godzinie drugiej, natychmiast po uderzeniu gongu, wchodził do jadalnej. Witał się ze wszystkimi z miną człowieka, który sam nie wie, z czego się cieszy, potem podchodził do starej teściowej i całował ją w rękę.

– Czy mama dobrze spała? – pytał z prawdziwą troską.

– Bardzo źle! – odpowiadała stara, i pan Apolinary patrzył w jej zielone, wodniste oczy, jak gdyby mógł w nich przeczytać przyczynę jej bezsenności.

Nieliczna służba dworska, składająca się z samych mężczyzn i dwóch staruszek (pan Apolinary nie cierpiał w domu młodych kobiet), opowiadała między sobą, że w czerwcu i lipcu, gdy w Wesołych Bagniskach byli jeszcze goście, pan dziedzic zmienił się ku lepszemu, stał się weselszy i bardziej ludzki. Tę zmianę zauważyła również i jego teściowa, lecz nie ucieszyła się zupełnie, przeciwnie, była strapiiona i zła. Wołała na górę do siebie Józefę, czepiała się jej pleców zgrzybiałymi, haczykowatymi rękami i mówiła suchym, skrzeczącym głosem:

– Twój pan myśli, że ma wciąż jeszcze dwadzieścia lat, gdy tymczasem przekroczył już czterdziestkę! Niedługo on mi się ożeni po raz wtóry!...

Potem dodawała z westchnieniem:

– Gdyby przynajmniej wszyscy już raz pojechali!

Lecz wszyscy wyjechali dopiero w sierpniu, gdy zaczął padać nieprzerwany deszcz. W parku na ścieżkach stały kałuże, na tarasie krzesła i leżaki były mokre, beznadziejne szare krople ściekały po szybach okien. Wówczas we dworze w Wesołych Bagniskach pozostali we dwoje, stara garbata kobieta i pan Apolinary. Nad dachem szalały burze, dwa stare, spróchniałe graby zwały się w parku i leżały w poprzek alei.

Lecz i w te dni, pomimo wszystko, pan Apolinary wychodził na spacer. Wkładał gumowy płaszcz i kalosze, nad głowę trzymał rozwarły parasol i gdy tak leciał wzdłuż alej pokrytych błotem, można było pomyśleć, że go nic nie obchodzi ani strumienie deszczu, ani błyskawice. Natomiast stara teściowa, pani Róża Nowiecka, w te czasy nie opuszczała swego pokoju zupełnie, nawet obiady i kolacje przynoszono jej na górę.

Siedziała w starym, niskim, rozłożystym fotelu, chłodna i garbata, siedziała w wygodnym fotelu, w którym podobno spędził noc przed samobójstwem politkom 5

Siwaszskiej Dywizji. O politkowie i jego pobycie w Wesołych Bagniskach dużo wspomnień przechowała w pamięci gospodyni Józefa. Oparta o poręcz fotela, schylona do ucha swej starej pani, Józefa opowiadała szeptem:

– Szłam wieczorem po korytarzu, proszę jasnej pani, wtem drzwi z tamtego pokoju rozwarły się cicho i widzę go na progu. Trzymał w ręce nahaj, a twarz miał tak zieloną, jak gdyby go mdlilo. „Towarzyszko”, rzekł do mnie, „może chcecie powąchać trochę zbawczej tabaki?” Wtedy zauważyłam, że wsypał sobie do nosa białego piasku, ale nie była to tabaka, bo ani razu nie kichnął...

Lecz zielonooka, garbata pani niechętnie słuchała tych opowiadań. Wolała natomiast długo i bez związku sama opowiadać Józefie o swej zmarłej córce Agnieszce. Wtedy wydawało się jej, że córka jeszcze żyje, że zaraz wejdzie do pokoju i powie: „Mamo, Apolinary jest najbardziej szczęśliwym człowiekiem na ziemi.”

Sierpień był dżdżysty i szary i oto z ostatnim oberwaniem chmur zwałił się różnokolorowy, tragiczny wrzesień. Trzynastego zaś września pan Apolinary otrzymał z Biarritz list, że przyjaciel jego, Jerzy Wawicki, przyjeżdża do niego za parę dni.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI